Środa Nr. 18. 14. grudnia 1870.

KURYER TEATRALNY LWOWSKI.

Wychodzi w dnie przedstawień polskich. Cena egzemplarza 4 cnt. Przedpłata wynosi rocznie 4 złr., półrocznie 2 złr. kwartalnie 1 złr., miesięcznie 35 centów.

Przedpłatę przyjmuje każdego dnia Kasa teatru polskiego w gmachu teatralnym — rano od 10 do 12, po południu od 3 do 5tej.

Porwanie pięknej Heleny.

(Z pamiętników byłego aktora prowincjonalnego.)

(Ciąg dalszy)

Wielmożny Muchomorski był to młody szlachcic, któremu natura w wysokim stopniu udzieliła wszystkich swoich darów, nie wyłączając i owego przymiotu umysłowego, stanowiącego pierwszy warunek szczęścia na świecie — jeżeli N. B. prawdą jest, iż szczęście ma taką antypatję do rozumnych ludzi, jak to głosi niemieckie przysłowie. Ja z mojej strony, nietylko w własnym moim interesie nie chciałbym tego twierdzić -- i na każdy wypadek prosiłbym, ażeby mię uważano za wyjątek od ogólnej reguły — ale nadto, mógłbym zacytować przykłady wprost przeciwne. Jeżeli bowiem prawdą jest, że „der Dumme hat Glück" — i jeżeli dalej prawdą jest, iż król Wilhelm bez wielkiego natężenia swojego umysłu ›durch Gottes Fügung‹ dokazał różnych rzeczy w sposób dla siebie bardzo pomyślny — to powiedzcież mi państwo, dla czego się wszystko tak wiedzie p. Bismarkowi — o którym przecież nikt nie powie, że głupi? Albo weźmy znowu inny przykład. Oto znam młodzieńca, którego nieszczęście prześladuje na każdym kroku. Już gdy się urodził, wykrzywiło mu ono głowę, twarz, szyję i plecy, jak gdyby miał być przynajmniej drugim Wolterem albo Szyllerem, którzy mimo prostej dość budowy ciała odznaczali się jak wiadomo, niepospolitą brzydotą. Mimo to, los odmówił mu nietylko wolterowskiego, ale nawet takiego dowcipu, jaki posiada niedzielny kronikarz G a z e t y N a r o d o w e j, który w tej mierze w rzędzie zwierząt ssących następuje zaraz po wielbłądzie. Otóż z temi wszystkiemi mankamentami, zawistny los nietylko postawił mego młodzieńca na czele organu exofficio dowcipnego, i wprowadził go w taką kolizję, iż mimo uczciwego charakteru i spokojnego temperamentu musi co dwa tygodnie okradać stare kalendarze albo nawet rabować humorystyczne pisma niemieckie, — ale nadto, ten sam zawistny los postawił go w rzędzie siedmdziesięciu i siedmiu wielbicieli pewnej figlarnej piękności — z taką oczywiście szansą powodzenia, jak gdyby kto na małej loterji postawił numera 91. 92. 93. i chciał zrobić terno. Jednem słowem, po lwowsku, takie „Pech" i taka tępa głowa nie chodziły z sobą w parze, odkąd wynaleziono przysłowia, i dlatego zaprzeczam najmocniej, jakoby było o g ó l n ą prawdą, że ›der Dumme hat Glück.‹ Nie będę się jednak sprzeciwiać specjalnemu zastosowaniu tej prawdy do mojego przyjaciela Muchomorskiego; powiem tylko, iż jako właściciel pięciu wybornie zagospodarowanych folwarków podolskich mógł on nie silić się nigdy na dowcip, którego nie miał, nie potrzebował tedy reklamy w S z c z u t k u dla swojej fizjonomii, N. B. wcale przystojnej. Przyjaciel mój posiadał tedy, jak widzimy, wszelkie warunki nietylko na kandydata do stanu małżeńskiego, ale i na kochanka — byle nie zbyt tragicznego, bo tragiczny kochanek musi przedewszystkiem być biegłym w gramatyce, a ta już w normalnych szkołach bywała często dość rzadkim gościem w pensach Wgo Muchomorskiego.

Po pierwszych pytaniach i odpowiedziach, tyczących się obopólnej naszej karyery od czasu ostatniego widzenia, spostrzegłem w moim ex-koledze jakiś smęt, jakiś rodzaj melancholii, który był mi z początku zagadkowym. Trudno bowiem było mi pojąć, czem się może frasować dwudziesto pięcioletni

właściciel majątku tabularnego, którego nie cisną nakazy płatnicze, który ma kilka tysięcy korcy zboża na sprzedaż, i kilka tysięcy gotówki w pularesie, którego konie nie mają nosacizny, któremu żaden chart nie uciekł do sąsiada, ani żaden sąsiad nie zabił lisa w jego kniei.... a daremnie szukałem innych powodów smutku. Nareszcie, po kilku nawiasem rzuconych słowach, po kilku roztargnionych spojrzeniach, powstało we mnie podejrzenie, że mój szlachcic musi być albo głodnym — albo zakochanym. Postanowiłem wystawić go na próbę, i nadmieniłem, że mamy w towarzystwie znakomitego Niepłacigażskiego wcale pulchną i gładką »subretkę« i wcale drobną, filuterną »naiwność.« Mój szlachcic słuchał mię z roztargnieniem. Nadmieniłem dalej, że restauracje w Chołojowce stoją na dość nizkim stopniu rozwoju, i że trudno mu się będzie posilić, jeżeli czuje apetyt. Szlachcic kiwnął tylko ręką, na znak, że nie czuje głodu. Nie było wątpliwości — był zakochanym. Ponieważ w takim stanie musiałem obawiać się z jego strony wielkiej oziębłości dla teatru Chołojowskiego, w którego łożach nie znalazłby oczywiście przedmiotu swoich afektów, więc zaalarmowany wielce, przystąpiłem do ściślejszego badania.

— I cóż — nie myślisz się żenić? zapytałem z nienacka — Szlachcic westchnął, jak lokomotywa, gdy nabiera tchu do dalszej podróży, i począł chodzić po pokoju z założonemi na piersi rękoma. Było mu tak do twarzy z tą tragiczną miną, jak np. otyłemu cokolwiek tenorzyście, którego głos kwalifikuje do roli amanta, a brzuch, do roli ojca primadonny. Widziałem, że potrzebuje powiernika — że szuka piersi przyjacielskiej, u którejby mógł wylać jakąś boleść srodze go trapiącą. Ułatwiłem mu rozpoczęcie tej operacji, oświadczając iż widzę jasno, co ma na sercu. Nie potrzeba było długiego śledztwa — wybuchnął od razu, i opowiedział mi romans, którego treść i styl kwalifikowałyby się doskonale do „Rękopisu znalezionego w Saragossie“ albo do innej jakiej powieści z owego czasu i w owym guście. Ponieważ czasy się zmieniły, i uczucia oddają się dziś już tylko w telegraficznem streszczeniu, więc daruję czytelnikowi stenograficzny protokół tych zeznań miłośnych i opowiem je tylko w krótkim wyciągu. (C. d. n.)

BARBAJA.

(Ciąg dalszy)

Największe arcydzieła mistrza kompozytorów, Rossiniego, były napisane dla Barbai i Bogu tylko jednemu wiadomo ile biedny impresario musiał użyć próźb, podstępów, a nawet gwałtów, by zmusić do roboty geniusz najswobodniejszy, najszczęśliwszy i najleniwszy ze wszystkich jakich Włochy wydały.

Przytoczymy tu jeden przykład doskonale charakteryzujące tak impresaria jak i kompozytor.

Pewnege razu przybył do Neapolu, Rossini poprzedzony już wielkim rozgłosem. Pierwszą znajomą osobą, jaką spotkał, wysiadając z pojazdu, był, jak łatwo domyśleć się, impresario teatru San Carlo. Barbaja poszedł naprzeciw niemu z otwartemi rękami i sercem, i nie pozwalając mu zrobić ani jednego kroku, ani też wymówić jednego wyrazu powiedział,

— Przyszedłem zrobić ci trzy propozycje i spodziewam się że nie odmówisz żadnej.

— Słucham, odpowiedział Rossini, uśmiechnąwszy się.

— Proponuję ci mój pałac dla ciebie i twoich ludzi.

— Przystaję na to.

— Proponuję ci mój stół, dla ciebie i twoich przyjaciół.

— Przystaję.

— Proponuję ci, byś napisał nową operę dla mnie i mego teatru.

— Na to nie przystaję.

— Jakto nie chcesz pracować dla mnie?

— Ani dla ciebie, ani dla nikogo w świecie. Nie będę już więcej nic pisać.

— Oszalałeś mój kochany.

— To jest rzecz postanowiona.

— Więc po cóż przyjechałeś do Neapolu?

— Przyjechałem jeść makaron i lody. To moja cała rozkosz.

— Lody będzie ci przyrządzać mój własny cukiernik, najpierwszy na całej ulicy Toledo; a makaron sam ci zpreparuję i zobaczysz jaki!..

— Oho!.. rzecz nabiera wagi.

— Ale wzamian za to dasz mi operę?

— Zobaczymy.

— Niech to będzie za miesiąc, za dwa, za sześć — czasu nie ograniczam.

— Idzie za sześć miesięcy.

— A więc zgoda?

— Chodźmy na kolację.

Tego samego wieczora jeszcze pałac Barbai oddany został do rozporządzenia Rossiniemu; właściciel jego usunął się gdzieś w kąt i znakomity kompozytor mógł się uważać jakby u siebie, w całem znaczeniu tego wyrazu. Wszystkich przyjaciół, a nawet prostych znajomych, jakich tylko zdarzyło mu się spotkać na ulicy, Rossini zapraszał bez ceremonii do stołu Barbai, robiąc honory domu z najzupełniejszą swobodą. Czasami nawet narzekał że nie znajduje dostatecznej liczby biesiadników, którzyby należycie umieli ocenić wytworny smak jego gospodarza. Pomimo wielkich zabiegów zaledwie udawało mu się zebrać dwanaście do piętnaście osób.

Co do Barbai, ten, wierny roli kuchmistrza, którą wziął na siebie, codzieonie wynajdywał jaki nowy przysmak, stawiał na stół najstarsze butelki ze swej piwnicy i podejmował wszystkich nieznajomych, których Rossiniemu podobało się zaprosić do niego, jakby ci byli najlepszymi przyjaciółmi jego samego. Tylko zwykle przy końcu uczty, podczas deseru z miną swobodną, niesłychaną zręcznością i uśmiechem na ustach, wsuwał kilka wyrazów o operze, którą mu przyrzeczono, a o której świetnem powodzeniu nie wątpi.

Ale pomimo wszelkich oratorskich ostrożności, jakich zażywał poczciwy impresario, aby przypomnieć swemu gościowi o zawartej umowie, najmniejsza wzmianka o tem wywierała na Rosssiniego takie wrażenie, jak owe straszliwe słowa przy uczcie Baltarara. Skończyło się na tem że Barbaja, którego obecność była dotąd tolerowaną, został najgrzeczniej uproszony przez Rossiniego, by się więcej nie przy deserze nie pokazywało.

A tymczasem miesiące mijały i libretto było gotowe oddawna, a nic jeszcze niezapowiadało by kompozytor przynajmniej wziął się do roboty. Po obiadach następowały przechadzki, po tych wycieczki na wieś. Polowanie, połów ryb; konna jazda najzupełniej zapełniały czas znakomitego mistrza; o najmniejszej nucie mowy nawet nie było. Barbaja codziennie najmniej dwadzieścia razy doznawał napadu wściekłości, kurczów nerwowych i wielkiej chęci zrobienia awantury. Powstrzymywał się jednak, gdyż nikt nie pokładał takiego jak on zaufania w geniuszu Rossiniego.

Doniesienia teatralne.

O towarzystwie prowincjonalnem p. Woźniakowskiego piszą z Tarnopola do G. N. „Od dłuższego już czasu bawi u nas towarzystwo dramatyczne p. Woźniakowskiego. Pojęcia nasze o wysokiem i szczytnem zadaniu sceny narodowej, nakazują nam, po przykrem przeszłorocznem doświadczeniu, uznać uwydatnienie się tej myśli kierowniczej, którą dyrekcja tego roku działalność swą nacechowała. Z wielką przyjemnością musimy tedy przyznać, iż dyrekcja obecnie weszła na tory godne sceny narodowej. Owe nędzne farsy, które zohydzały dawniej scenę nazywającą się polską, znikły w znacznej części, i bogdajby nigdy nie pojawiły się więcej na deskach teatralnych. Scena tarnopolska nabrała cechy poważniejszej i patrjotycznej, i jest na drodze stania się w zupełności odpowiednią. Przykrą jest jednak z drugiej strony obojętność publiczności wobec usiłowań dyrekcji, a gdy przeszłego roku na najnędzniejszych „posach" sala była przepełnioną, teraz często jest zupełnie próżną. Smutny ten objaw możemy przypisać tylko ogólnemu zatraceniu estetycznego zmysłu. Czyż i nam Gallmajerki kankanów potrzeba?

Składu towarzystwa p. Woźniakowskiego świetnym nazwać nie można. Dyrektor, p. Terenkoczy i Siedlecki, panna Gajewska i Kołogórska, oto „lumina." O pierwszych trzech nic nowego powiedzieć nie można, nadto co w przeszłorocznych podnosiliśmy sprawozdaniach. Są to dobrzy aktorowie, a dla prowincjonalnej sceny nieocenieni. Postępu jednak nie widać. P. Terenkoczy w „Gabryeli" Augiera jako Stefan, a jako Aleksy w dramacie „U wyłomu" danym na swój dochód, w zupełności odpowiedział swemu zadaniu. Pan Siedlecki jest dobrym komikiem i niezłym w rolach czarnych dusz; jako komik jest czasem trywialnym, w innych rolach zaś ma tę rzadką zaletę, iż gra naturalnie, bez przesady. P. Gajewska dała smutny dowód o stopniu swego artystycznego wykształcenia, wybierając na swój benefis farsę.

Jestto zresztą artystka bardzo pilna; nieszczęściem jej jednak jest słaba pamięć i wskutek tego bezmyślne nczenie się roli. Z trudnej roli Gabryeli wywiązała się wcale znośnie, niektóre sceny były wcale dobrze pojęte i wykonae. Wielkim jej błędem jest także sentymentalność i nużąca, jednostajna deklamacja w wygłaszaniu rcli. P. Kołogórska jest dobrą w rolach subretek.

Pan Stanisław Taborowski, rodem z Wołynia, skrzypek, uczeń konserwatorjum brukselskiego, bawi obecnie we Lwowie. W r. 1860 otrzymał on w Brukseli pierwszą nagrodę. W Berlinie, gdzie dawał kilkakrotnie koncert, znalazła gra jego powszechnie uznanie, jak o tem świadczą bardzo pochlebne sprawozdania umieszczone w tamtejszych dziennikach. Głębokie uczucie, prześliczna czystość tonów, śpiew, sztuka i elegancja, wszystko to ma zachwycać w grze naszego ziomka.

Wydawca i Redaktor odpowiedzialny Juliusz Stanko.

Z drukarni E. Winiarza.

Abonamentu 4. Nr. 8.

Nr. 65.

W ces. król. uprz. teatrze hr. Skarbka we Lwowie

w Środę dnia 14. Grudnia 1870 roku

BEZCZELNI

czyli:

OPINIA PUBLICZNA

Komedja w 5 aktach z francuzkiego E. Augier, tłómaczył M. Chrzanowski.

(Nowa dekoracja pędzla P. Baranowskiego.)

Osoby:

Charrier, bogaty bankier	P. Linkowski.
Henryk, syn Charriera	P. Szymański.
Klementyna, córka Charriera	Pni Wolańska.
Pan de Sorgine	P. Wolański.
Pan Vernouillet	P. Królikowski.
Margrabia d' Auberive	P. Baranowski.
Margrabina d' Auberive	Pni Szymańska.
Wice-hrabia d' Issingni	P. Wojnowski.
Wice-hrabina d' Issingni	Pna Zalewska.
Giboyer	P. Mikulski.
Służący Charriera	P. Bąkowski.
Służący Vernouilleta	P. Goliński.
Pokojówka	Pna Wojnowska.
Służący Margrabiny	P. Zieliński.

Rzecz dzieje się w Paryżu.

Ceny miejsc zwyczajne.

Początek o godzinie 7.